

Relacja Kazimierza Rodziewicza z XI 1990 r.

=====



20 września 1939 r. wracałem ze wsi spod Kobrynia i jak wieczorem byłem na granicy Brzescia - na rogatkach miasta styły posterunki Białorusów i Ukraińców, którzy od razu odebrali mi rower i powiedzieli, żebym szedł na piechotę. A później w bramie byli jacyś wojskowi, a że wracałem wieczorem, musiałem tam w stodole czy gdzieś przenocować i wróciłem do domu nad ranem. W domu była matka i bratowa. Widok miasta zrobił się już całkiem odmienny. Przedtem były naloty niemieckie, ale w Brzesciu było mało zniszczeń przez tamten okres. Jak przyszedłem, to zaczął się tu brak chleba, kolejki za chlebem, za cukrem, za wódką. Do tych władz, które chyba były częściowo już wcześniej przygotowane - zgłaszali się Białorusini i Żydzi. Mieli opaski czerwone na rękawach i to była taka pozorowana milicja, czy prawdziwa milicja... A nasi, Polacy, musieli się bardziej po cichutku lokować, ukradkiem. Jak tu przyszli Sowietci, to myśmy byli spychani na bok.

Po kilku dniach szła dewaluacja, inflacja, bo pieniądze były jeszcze polskie, jak kilogram słoniny kosztował przedtem 5 zł, to później 15 zł - jak ktoś miał tam jakieś oszczędności, to je tracił, a kto był sprytniejszy, to coś kupił. Ale jeszcze jeżeli czekał, to albo je tracił, albo było już wszystko za drogie.

Nie było co robić, a ja byłem poprzednio w Liceum Administracyjnym Kolejowym, a zaczęli otwierać te szkoły - to próbowałem

chodzic do tej szkoły.

Zydzi zyli obok nas, ale nas nie lubili. Byly takie stale slogany - "wasze ulice, nasze kamienice", ale bezposrednio nie moge powiedziec, zeby mnie jakos tam atakowali czy cos. Mysmy byli warstwa srednia, a ci najbogatsi to juz gdzieś uciekli. Mysmy zyli na przedmiesciu, nie bylo czegos takiego, zeby nas bezposrednio gdzieś tam trzymali czy cos. takiego. Jak sie tworzyly te otgana milicji, to tworzyly sie z tego elementu, ktory przedtem byl utajniony, czesto sie wydawalo, ze to sa Polacy, a oni okazali sie teraz Bialorusinami. Tak ze tu sie te rzeczy zmieniaja co pewien czas i do wladzy radzieckiej garnely sie te elementy, ktore czuly sie im bliskie. Polacy z boku wyczekali, albo wycofywali sie. Nie mieli do tego checi, co zrozumiale. No, cos czynic musieli, bo to normalne zjawisko, ze musieli podjac prace, czy cos.

Ja zaczalem chodzic do tej szkoły. Warunki tam byly takie dosc trudne. Byli starzy nauczyciele, ale mało. Szkola potrwala tylko niecale dwa miesiace i z nakazu odgornego zostala rozwiazana. W miedzyczasie, jak ta szkola trwala, zostal wprowadzony jezyk rosyjski. Ale nie bylo nalezytej organizacji. Mlodziez siedziala po cichutku, bo byla to ta sama mlodziez, co poprzednio. Nie bylo tam jakiehs antagonizmw. Mogli tam byc jacys szpiedzy, ktorzy sie nie ujawnili.

Szkola trwala tylko przez dwa miesiace, wiec albo wladze nie zwracaly na nia uwagi, a pozniej, jak zaczela sie tworzyc nasza organizacja, to bylo chyba podsycane, abysmy sie do niej zapisywali. To moje prywatne zdanie, nie mam na to dowodow. Ale to bylo, zeby szukac elementow, ktore nie lubia Sowietow. I to byl widoczne, bo jak sie spotykalismy po szkole, to szli grupami do szkoły, ze szkoły... To byl zaczatek, ale szybko sie te

organizacje zaczęły tworzyć. Prawdopodobnie mocodawcy chcieli, aby się sprawa ujawniła, kto jest przeciwny. To było tylko w tym kierunku.

Mnie zorganizował kolega Leszek Skinder, ten niezwykły już aktor. Na jednym zebraniu przychodził podchorąży Osipiuk, jako taka władza wojskowa. I przez niego zdaje się był Skinder kierowany. I on skierował tę pierwszą dziesiątkę, m.in. mnie i Broda, która się wtedy nazywała Pawlikowska. On zorganizował tę pierwszą grupę. W tej grupie byłem m.in. ja, Skinder, Broda i Kołodówna, która już nie żyje.

Robiliśmy zebrania, których celem było, mówić szumnie, organizowanie akcji propagandowej i zbrojnej, utrzymanie polskości. No i mówiło się, że okupacja sowiecka to będzie okres przejściowy, że nastąpi ich odwrot, a więc że byśmy byli stale gotowi do pomocy w odzyskaniu niepodległości.

Nazwę tej organizacji - "Promień" - przyniósł Skinder. Dla mnie przedtem to był PŁomien, a później był Promien. Ale to jest ta sama organizacja. W więzieniu śledczy mówił "PŁamien" - PŁomien. Trudno to teraz wyjaśnić, bo nigdy nie było to pisane.

Byłem zaprzysięzony, zaprzysiężenia odbywały się - była zgrupowana dziesiątka osób, było takie zebranie i wtedy wszyscy przysięgali na Polskę, na dzieło tej organizacji, że będą strzec tajemnicy, nikomu nie wydadzą. Przysięgę odbierał Skinder, który był, że tak powiem, przewodnikiem tej małej grupy. Spotkania były przeważnie co 7-10 dni. Tylko spotykaliśmy się, opowiadaliśmy i tak moralnie wspieraliśmy się. Ale takiej akcji - to nie było żadnej, nie trzeba tu wyolbrzymiać sprawy, bo to by się ktoś czuł bohaterem. Spotykaliśmy się w różnych miejscach, a najczęściej u jednego członka, którego nazwisko

zapomniałem, miał on rude włosy. Miał on w Brzesciu mieszkanie kolejowe, bardzo dogodne i tam myśmy się spotykali.

Jak jedna dziesiątka się spotykała, to z innej dziesiątki obserwowaliśmy, aby ktos nie podchodził, ochraniali nas, aby w razie potrzeby mogli uciekać. Ale później, jak nas zaczęli aresztować, to moim zdaniem listy miał już ktos przekazane i sowieccy NKWD-yści mieli wszystko. Nie było zreszta dla nich ważne, czy ktos należał czy nie należał. I pytania - kto cie tu wciągnął? Ja się nie przyznawałem długi czas, no to później przyprowadzili Skindera, który został pierwszy aresztowany.

Skinder był aresztowany w pierwszych dniach stycznia 1940 r. ja zaś 28 stycznia tego roku, prawie miesiąc po pierwszym aresztowaniu.

Jak wyglądało moje aresztowanie? Przyszedł jeden oficer i dwóch jeszcze innych wieczorem około 22 czy 23 godziny. Zastukali - aresztowania już trwały, więc nie było to już takie straszne zaskoczenie. Przedtem był aresztowany Skinder, a potem jeszcze inni. Ja byłem aresztowany, że tak powiem, w tej czołówce. Ale to tak było dziwnie w tej organizacji - nikt ode mnie nie wygagał, żebym uciekał, czy coś takiego. Zreszta ci co uciekali - to na Bugu ich łapali i z powrotem dostawali ich tutaj do więzienia. Tylko ci, którzy uciekali przez granice, to dostawali wyrok przez tzw. trojke - byli szybciej osadzeni i niby uważani, że to są szpiecy, ale traktowani byli łagodniej. A o nas mówili, że to opozycja. Jak ktos należał do tej organizacji, to był to "wrog ludu".

Ja miałem dwa zasadnicze zarzuty - pierwszy, że należe do organizacji i drugi - że brat jest oficerem. To był cięższy zarzut, aniżeli ta organizacja. Nie byłem z elity, ale fakt, że brat był oficerem był bardzo obciążający.

Z tym śledztwem oni się nie spieszyli bardzo z nami. Przesłuchania odbywały się tak, że ~~przychodzili~~ przychodzili do celi i pytali - na R? Radziwonowicz, Rodziewicz - dawaj! Wysłali żołnierza i on wtedy prowadził - to trwało długo i nieprzyjemnie. W czasie przesłuchania byłem kilka razy uderzony w twarz, ale ale było to niewielkie takie bicie. Przez trzy miesiące się nie przyznawałem do przynależności do tej organizacji. Jeden śledczy siedział, a jak potem się zmeczył, to przychodził drugi i zaczynał jeszcze raz. I od początku zaczynał. To była taka taktyka, a jak ja mówię - to on w twarz uderzył. A później mnie doprowadzili na spotkanie ze Skinderem, którego przyprowadzili. On na konfrontacji powiedział, że tak, ja Rodziewicza zorganizowałem do tej organizacji. Dla niego było to przykre to spotkanie, ale on wcześniej został załamany. Poza tym w żadnej konfrontacji nie brałem udziału, byłem prawie ostatnim, który się przyznał. Oni czekali w sowieckich więzieniach, aż się wszyscy przyznali. Nie było takich twardych żeby się do procesu nie przyznali. W sowieckim więzieniu wszyscy się przyznawali.

W więzieniu byli ludzie przeważnie mieszani. Z naszej organizacji trafiło mi się siedzieć z kims dwukrotnie - z Franciszkiem Cieslikiem, którego po aresztowaniu gdzieś tam osadzili i później przenieśli do mojej celi. I on mi wtedy powiedział, że matka moja została wywieziona do Kazachstanu. I później po sprawie sądowej siedziałem trzy dni z Mioduszewskim. On był na tej samej sprawie.

Sprawa była objęta nie tylko tą dziesiątką, ale była na niej grupa dwudziestoosobowa. Z dziewczyn była ta Brodacka i chyba jeszcze Kołodówna. Grupę była przygotowana do sprawy, przygotowano 20 osób. A Więckiewicza i innych - potraktowali lżej i wcześniej osadzili poprzez tzw. trójkę i wywiezili. Tak że nie wszyscy byli na tej sprawie.

Proces był dla mnie dosyć banalny. Nas przewieźli z więzienia głównego, bo myśmy byli w tzw. Czerwonaku przy Jagiellońskiej. Nie mogę nic specjalnego o strażnikach ~~nic~~ powiedzieć. Jeżeli ktoś mnie uderzył - to śledczy. A ci strażnicy to mieli taką robotę... Sam rygor w więzieniu ruskim był trudny. W więzieniu z celi nigdy nie wolno było nikomu wychodzić. Wyprowadzali nas do ubikacji dwa razy dziennie - rano i wieczorem. I wtedy dyżurni wynosili ~~paszaki~~ paszaki ze sobą i wylewali.

Nie było czasu na umycie się, bo to trwało tylko 5 minut. Tylko jedna cela wychodziła. Potem wracaliśmy i koniec, było śniadanie, obiad i kolacja. Cela nasza była starego polskiego więzienia - 6-osobowa. A nas było od 28 do 32 osób. Tak że już samo takie zgrupowanie ludzi jest przykre.

Widzieć się nie można było z rodziną, po sprawie sądowej odwiedziła mnie raz siostra. Ale to był już 1941 rok. Siostra miała być przewidziana do wywozu dopiero w czerwcu 1941 r., jak mówił jej jakiś NKWD-zista. Ale wtedy Niemcy ruszyli, to oni wyszli półtora dnia wcześniej i uniknęli wywozki. Tak więc jak później wrocilem, to tylko miałem kontakt z siostrą.

W więzieniu najgorsze było przepelnienie ludzmi, a w lecie nie wolno było okienek otwierać, nie wolno też było zasłaniać judasza. Były prycze, to znaczy łozka żelazne z naszego więzienia i deski były na to położone. Różni byli - i złodziejaszki i ci, którzy chcieli przejść na drugą stronę i ich łapali. Jadzie Brodacka nie izolowali tak jak nas, brali ją tam czasami do pewnych robot. Pomagała czasami w roznoszeniu zupy albo przy sprzątaniu. Ona miała informacje i mówiła, kto jest w której celi. Ona stawała przy drzwiach ze szczotką, a pilnujący jej żołnierz chodził tu i tam, więc kilka słów czasami powiedział. Nawet porozumiewaliśmy się przez "telefon" - linie centralnego ogrzewania lub przestukiwaliśmy.

Jak została przerwana szkoła, w której się uczyłem, to poszedłem pracować na pocztę do telegrafu. Organizacja powiedziała, że to bardzo dobrze, będzie wiadomo, co się dzieje. Myśmy wtedy jednak nie byli bardzo dopuszczani do wiadomości, bo telegramy ważniejsze szły inną drogą, nie przez urząd pocztowy. Ale dla nas było bardzo dobrze, że trafiliśmy do tej poczty. Tak więc byliśmy nauczeni alfabetu Morse'a, co wykorzystywaliśmy w więzieniu stukając. Trudno było stukać przez ściany, ale wiadomości było mało, więc przekazywali je ci, co później przychodzili. Oczywiście nie było ani żadnej prasy, ani niczego. A w więzieniu co było dla nas najtrudniejsze - po pół roku dopiero poszliśmy do łazienki. Były więc straszne wszy i robactwo. Włosy rosły, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Wtedy była pierwsza odwyszarzalnia, ale była mało skuteczna. Może było za mało środków, czy tej pary dali za mało. Do łazienki wychodziło się ze wszystkimi rzeczami. Nie było materaców. Na płaszczu się spało, kurtka się przykrywało. Ci pierwsi, którzy tam byli

to mieli prycze, a pozostali spali na stole, na lawce, na podłodze. Ten, kto przychodził ostatni musiał spac kolo parachy. Cale miejsce bylo zajete, wiecej juz nie mozna bylo w celi wepchnac. Do 31-32 to byla gorna granica, wiecej sie juz nie miescilo.

Ale ponizej 28 nigdy nie spadal stan celi. Nie wiem, mozen w zenskim wiezieniu bylo luzniej, ale tutaj bylo jak najgorzej.

Na rozprawie przewiezli nas do budyneczku NKWD, takiego palacyku jakies 100-150 m od wiezienia.

Przed tym budynkiem czekaly rodziny. Moja siostra nie przyszla, bo sie bala. Przed sprawa przywiezli nam wyjatkowo duzo kaszy i herbaty. Bylismy glodni, to zjadlem duzo, napilem sie. Rozprawa zaczela sie o 8 9, a juz o 10 chcialem koniecznie do ubikacji. Ale nie pozwolili mi, kazali mi czekac. Dopiero po sprawie wyprowadzili mnie do ubikacji, ktora byla na zwnatrz. Wtedy widzialem przed tym budynkiem Sopuchównę i czekajaca grupe ludzi.

Byl na sprawie obronca z urzedu, ktory na koniec zabral glos. Powiedzial, ze to sa mlodzi ludzie, nie mieli rozeznanja i apelowal, aby sad wzial to pod uwage. Tak ze obronca nie nalatywal na nas. W normalnym ukkladzie to obronca pogarszal sprawe. Prosil, aby sad potraktowal nas jak najllagodniej.

Wyroki byly od 10 lat do 5 lat. Ja, Mioduszewski i Brodacka dostalismy po 10 lat. Skinder dostal 8 lat, chociaz byl tym pierwszym, ale dlatego, ze dawal rozeznanie, to zostal potraktowany lagodniej. Na sprawie bylo duzo czytania i kazdego obciazali, ze nalezal on fdo organizacji. Omawiano tez rodzine, a wiec, ze brat byl oficerem. A wiec dodawano do ciezaru sprawy, ze to zla rodzina, niedobrzy ludzie.

Na sprawe zabrali nas z rzeczami - tam byly dwa pokoje, wiec osobno umiescili kobiety, osobno mezczyzn. Po sprawie zabrali nas z powrotem do wiezienia, gdzie trafilem z Witkiem Mioduszewskim i innym kolega do jednej celi. Sprawa byla w marcu 1941 r., a my siedzielismy az do wejścia Niemcow.

Jak ruszyli Niemcy, to pierwszym wrazeniem byl strach, bo to bylo w nocy i zaczely sie rozrywac pociski. Bylo to ok. trzeciej w nocy, jeszcze ciemno bylo, zegarkow oczywiscie nie mielismy. Popadalismy na podloge z lekiem, co to bedzie. Latali ci zolnierze i nawet slyszelismy, ze karabiny szczekaly. Kazdy myslal o tym, czy beda nas gdzieś gonit. Po jakichs dwóch godzinach uspokoilo sie na korytarzach.

Ostrzał artyleryjski zaczął wygasac. Mysmy byli naprzeciw zenskiego wiezienia. Jeden z nas stanal przy judaszu, a drugi wspial sie na okno. Ja tez do tego okna doszedlem. Widzielismy, jak dwoch Niemcow gonilo jednego NKWD-ziste. Zgubil on czapke - mieli czapki z niebieskimi otokami.

Niemcy byli dla nas pewnym wybawieniem. Sytuacja byla niejasna, wiec mysmy zaczęli stukac do drzwi. Nikt juz przy drzwiach nie odpowiadat, byla cisza. W wieziniu bylo ogrzewanie parowe, wiec grzejnik zdjelismy i uderzylismy nim kilka razy w drzwi, ktore sie otworzily. Nastepnie na korytarzu byla krata stalowa, zamknieta z zewnatrz. Znowu tym grzejnikiem zaczęlismy walic. Naprzeciwko naszych cel byly pojedynki, gdzie byli skazani na kare smierci. Ci zaczęli wzywac ratunku. Z zewnatrz jak nie ma w drzwiach celi klucza, to nie ma w co uderzyc, bo drzwi byly na zacisk na tamta strone. Tak ze nie bylo takich technicznych warunkow, zeby je otworzyc. Probowalismy, ale nie udawalo sie. Krata jakos puscila pod uderzeniami grzejnika. Bylo jakies takie zjawisko, ze nie wiadomo skad mielismy sile. Mysmy byli na pietrze, zeszliśmy wiec na dol. Na naszym korytarzu bylismy pierwsza cela, ktora wyszla. Na dole byli juz tez mdrzejsi i na dole drzwi byly juz otwarte. Tak ze my juz wiezienia mieli dosc imimo, ze trzeba bylo ratowac tych w pojedynkach, ale mysmy w wiezieniu dlugo juz nie przesiadywali i zaczęlismy isc w kierunku domow.

Nikoogo juz nie bylo, byl tylko jeden zolnierz bez czapki i bez broni. Oni tak szybko uciekali, obrony nie bylo. Tak ze juz jak mysmy szli, to tylko byly rozbite budynki, jakies sklepy. Ale nikogo nie bylo, nawet Niemcow nie bylo. Pierwsze wojska przeszly dalej. W pierwszym dniu to Niemcy doszli do Baranowicz, 220 km dalej. A nasze miaste bylo miastem granicznym i nie stawialo oporu i tylko most pontonowy ostrzelali i poniszczyli. Oporu zadnego nie bylo i zolnierzy zadnych nie byl widac. Pierwsze dwie godziny latali z bronia. Ja jednak do piwnic niemzachodzilem, nie wiem wiec, czy Rosjanie rozstrzelali jakichs wiezniow.

Jak wyszedkiem z wiezienia, to drzwi na zewnatrz byly juz otqarte i ja szybko z tego wiezienia sie oddalilem. Szedlem do swojego starego domu. Tam juz mojej rodziny jednak nie bylo, mieszkali inni ludzie. Zaszlismy wtedy do Mioduszewskiego.



Była tam jego matka, bo nie była wywieziona, jako że on nie był z wojskowej rodziny. Poczęstowali nas śniadaniem, a później poszedłem tam, gdzie mieszkała moja siostra. Nie zastałem jej, a w przeddzień był ostatni wywóz Polaków. Powiedziano, że oni uciekli. Doczekałem tam do wieczora i około 20 lub 21 godziny zjawiała się siostra ze szwagrem i synkiem. Wtedy zacząłem zbierać informacje. Tak więc jak wyszedłem z wiezienia, to nie miałem ani rodziny, ani domu, ani niczego.

W dniach następnych zaczęli zjeżdżać Niemcy, ale już nie pierwszy rzut, ale oddziały administracyjne. Zaczęli zajmować mieszkania, które opuścili Rosjanie. Byli przygotowani do dalszego marszu, powystawiali też drogowskazy - na Pinsk i inne miejscowości.

Jedzenia mieliśmy mało i biednie, a ja po wyjściu z więzienia zacząłem puchnąć. Ale po tygodniu organizm zaczął przyswajac i to mijalo.

Po wyjściu w wiezienia byłem trochę uspokojony i nawet nie chciało mi się szukać kontaktu z organizacją. Mnie się poza tym zdawało, że nas ktoś wszystkich sprzedał. Bo akcji w tej organizacji nie było tak dużo, żeby to samo mogło zaszkodzić. Organizacja zreszta nie bardzo mogła zaszkodzić Rosjanom, a zrobili oni nam proces chyba po to, aby postraszyć innych. Nikt po procesie nie składał odwołania, wszyscy wiedzieli, że ten proces to jest fikcja. Nie zdążyli nas wywieźć. Grupowali nas i przygotowywali do wywiezienia, ale nie zdążyli się technicznie przygotować. Ja nie wiem, kiedy miał nastąpić nasz transport. Innym, których osadziła trojka - odczytywano wyroki na dziedzińcu. I myśmy słyszeli, że tego wywieźą na tyle lat, tego na tyle... Zreszta to też nie była żadna trojka, tylko jeden urzędnik tam to spisywał. To były sprawy zaoczne.

Brali do samochodu i odczytywali na dziedzincu wyrok traktujac, ze jest juz po wyroku.

Dalej mieszkalem w Brzesciu u siostry. Poszedlem pracowac do magazynow niemieckich. Nawet dobrze trafillem. Byly tam alkohole, tytonie, to przy okazji cos sie bralo. Bylismy we trzech, rowniez Mioduszewski, Polacy w tym magazynie. Trzeci byl Juzrek Zabiełło, szkolny kolega.

Niemiec byl magazynierem, a mysmi byli jako brvgadzisci i robotnicy. Potrafilismy wszystko zalatwic i spokoju mielismy duzo. Pozniej w 1943 r, jak zaczal zblizac sie front - to ja juz nie moglem dluziej tu siedziec.

Zglosilem sie do wojska.